



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



POGADANKA NAUKOWA.

— Dzisiaj mówić będziemy o wulkanach, nieprawdaż panie Witoldzie? — zapytał Kazio.

— Dobrze — odparł nauczyciel. — Właśnie we wrześniu zeszłego roku otworzył się nowy krater na Wezuwiuszu i dotąd płynie z niego lawa z pod kłębow dymu i snopów iskier.

— Co to jest lawa? — spytała Helenka.

— Lawa, jest to mieszanina różnych roztopionych metali i metaloidów, jako to: potasu, sody, aluminium, magne-

zy, wapnia, żelaza, wodoru, tlenu i krzemu, które wypływają z kraterów wulkanu ognistymi potokami.

— Skąd pochodzą te wybuchy — zagadnął Kazio — czy to prawda że środek ziemi, wypełnia ognista roztopiona masa?

— Gdyby można było dotrzeć do środka ziemi, wtedy mielibyśmy gotową na twoje pytanie odpowiedź — zauważyła Helenka — wiesz przecie, że znamy tylko powłokę ziemi bardzo drobną i ciekłą, w porównaniu z całym jej ogromem. Przypominam sobie słowa pana B. który mówił, że znaną nam głębokość skorupy ziemskiej porównać można z grubością skórki pomarańczowej, w stosunku do całej pomarańczy.

— To prawda — potwierdził p. Witold — jaka taka znajomość jednak, tej cienkiej powierzchni warstwy ziemi pozwala nam przypuszczać, że istotnie temperatura ziemi podnosi się wraz z oddaleniem od jej powierzchni, a zbliżaniem do jej wnętrza. Wiadomem też jest, że temperatura, wynikająca z oddziaływania promieni słonecznych, działa tylko na głębokość mniej więcej 10 metrów; poniżej temperatura pozostaje słabą, lecz jeśli wykopimy studnię głęboką, dajmy na to, na pięćdziesiąt metrów, wówczas zauważymy na termometrze zwykłą o jeden stopień; przekonano się też, że na trzydzieści metrów głębokości przybywa jeden stopień ciepła. Niewielki to zapewne przybytek, a jednak, wyobraźmy sobie otwór na tysiąc metrów głęboki, tam już panować będzie gorąco zdolne nie tylko stopić, ale w gaz zamienić ciała takie jak metale. Lecz jak wiecie już z fizyki, gazy ujawniają ciągle dążność do zajęcia jak największej ilości przestrzeni; na przeszkodzie stoi tu ciężar wierzchnich warstw ziemi, przychodzi jednak chwila, w której prężność gazów przewyższa opór ziemi, i wtedy gazy przebijają skorupę, która ich więzi i wybuchają w górę płomiennym słupem, porywając z sobą płynne lawy i odłamy rozżarzonych kamieni. Słup ten liczy nieraz kilkaset łokci wysokości, najwyższej

wznoszą się kłęby pary, dymu i ciemną chmurą roztaczają się wokoło, z tego słupa wybiegają od czasu wężykowate błyskawice.

— Cóż to za przepyszny widok być musi! — zawołał Kazio.

— Przepyszny, zapewne, ale z daleka — dorzuciła Helenka.

— Wybuch taki trwa dłużej lub krócej, stosownie do siły nagromadzonych gazów; bywają wulkany, w których ciągle kipi lawa i od czasu do czasu wypływa z nich strumienia; takim na przykład jest wulkan Stromboli, wulkan *Mauna-Loa* na wyspach Sandwich.

— Dla tego też kratery tworzą się tylko w górach.

— Mylisz się Kaziu — odparł p. Witold — gazy wybuchają nieraz na płaszczyźnie, lub w stoku górskim, a dopiero wyrzucona lawa i głązy piętrzą się wkoło otworu i tworzą nieraz sztuczne wzniesienie, które do góry przyrównać można. Kratery są to niejako klapy bezpieczeństwa, które mi zbytek gazów uchodzi na zewnątrz, tworzą się więc tam, gdzie prężność tych gazów najmniejszy znajduje opór. Wiecie też zapewne, że wybuchy wulkanów poprzedzają trzęsienie ziemi; są one spowodowane pękaniem i ruchami spodnich warstw i zdarzają się w okolicach, w których niema wulkanów.

— Na przykład w Nizy — dorzucił Kazio — pamiętam, że wtedy wiele domów zapadło się, tak w tem mieście jak i w innych okolicznych miastach, że wielu ludzi śmierć poniosło pod gruzami.

— Było to silne bardzo trzęsienie ziemi słabsze jednak zdarzają się często, niema prawie dnia aby, to zjawisko nie powtórzyło się w którymkolwiek jęj krańcu, tylko są one tak nieznaczące, że nawet o nich nie wiemy.

— To mnie wcale nie dziwi — rzekł Kazio — jeżeli tam pod naszymi nogami takie panuje gorąco, jeżeli istnieje takie podziemne laboratorium chemiczne, w którym ciągle ciała stałe zamieniają się na płynne, a te ostatnie na gazy, to nic dziwnego, że w niém ciągły ruch panuje, i że te wszystkie pary i płyny pomieścić się nie mogą.

— A czy ta lawa prędko zastyga? — spytała Helenka.

— Rozmaicie bywa, stosownie do składu chemicznego lawy, stosownie do jęj mniejszej lub większej płynności; lawy ciężkie szybciej zastygają na powierzchni, lecz pod tą zastygłą skorupą przez kilka miesięcy nieraz zachowują w sobie ciepło. Zdarzało się już badaczom chodzić po zastygłej lawie, gdy z jęj szczelin wydobywały się jeszcze gorące pary, a kto w te szczeliny wzrok zapuścił, dojrzeć mógł w głębi czerwone pasmo roztopionej lawy. Nieraz te roztopione warstwy oddzielają się od grubej zimnej powłoki, zapadając nagle w roztwartą pod niemi rozpadlinę; wtedy widzimy tunele i wiszące mosty z lawy czarnej, błyszczącej pod warstwą popiołów, bo wulkan wyrzuca z siebie i popiół czyli lawę drobną, sproszkowaną, który wraz z kamieniami, żuźlami, nie zmiernie utrudnia zbliżenie się do krateru; nogi zapadają weń, kamyki z pod nóg się usuwają, co krok potykać się trzeba, turyści też do najuciążliwszych zaliczają wycieczki odbywane w celu zwiedzenia kraterów.

— Proszę pana, a jakie pierwiastki zawierają gazy wulkaniczne — zapytał Kazio.

— Gazy te powiększają części zawierają chlor, siarkę

pod postacią gazu siarkowodorowego, kwas węglowy, które niby ochronny obłok, otacza para wodna; w Sycylii istnieje wiele wygasłych wulkanów, których kratery stanowią zbiornik czystej prawie siarki. Czy wiecie, skąd one pochodzą?

Dzieci milczały chwilę.

— Siarka pochodzi z tego gazu siarkowodorowego, o którym pan wspominał — odezwał się Kazio.

— Zapewne, ale ten gaz jest niewidzialny przecież, nie posiada żadnej odrębnej barwy, jest lotny, pochwycić go nie możemy ręką, a siarka jest ciałem stałym, wyraźnej, żółtej barwy.

— Gaz ów musi ulegać rozkładowi — zapewniła Helenka.

— Nieinaczęj; przy zetknięciu z powietrzem, wodór łączy się z tlenem, tworząc wodę, a siarka pozostaje pokrywając wnętrze i boki krateru. Oprócz siarki widzimy jeszcze inne w wygasłych kraterach osady, jako to: połączenie chloru z sodą, czyli naszą zwyczajną sól, chlorek potasu, krzem i t. d. A teraz zapytam was, czy wiecie, co to są bazalty?

— Bazalty to kamienie — zawołała Helenka.

— Zbyt to ogólnikowa nazwa panno Heleno; bazalty, to zastygła lawa dawno nie istniejących wulkanów; lawa ta, bardzo w krzem bogata, stygnąc, tworzyła słupy sześciokątne; tu p. Witold wyrysował poniżej podaną figurę, wyobrażającą bazaltowe kolumny.

Taką formę przyjmują tylko wielkie i głębokie potoki lawy, które stygną nader wolno.

— Panie Witoldzie — odezwała się Helenka — widziałam krochmal, który miał zupełnie kształt tych kolumn bazaltowych, był tylko drobniejszy.

Wcale mnie to nie dziwi — odparł nauczyciel — dość jest w gorącej wodzie rozpuścić zwykły krochmal, by po ostygnięciu masy, otrzymać takie słupki.



Bazalt.

— Doprawdy, nigdy nie przypuszczałem, aby taki uczony przyrodnik jak pan, zajmował się pospolitym krochmalem — zdziwił się Kazio.

— Pan Witold roześmiał się.

— Właśnie przyrodnik w najzwyczajniejszym fakcie dostrzedz może wielkie prawo, a każda drobnostka ułatwić mu może drogę do nowego odkrycia. Znaście historię o Newtonie i jabłku?

— Znamy — zawołały dzieci.

— A czyż jabłko nie jest pospolitym owocem?

— To prawda — odrzekł Kazio.

— Nie pogardzajcież więc codziennymi faktami! pamiętajcie, że życie człowieka wśród nich upływa, i że z pozornych drobnostek wielkie skutki wyrosć mogą.

— To pewnie opowie nam pan coś bardzo ciekawego na ten temat? — zapytała Helenka.

— Przy rozprawie sami o tem przekonać się możecie, zresztą powrócić możemy do tego przedmiotu w następnej pogadance.

Młody przyjaciel dzieci.

KSIAŻECZKA WŁADZIA,

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— I gdzie ja będę szukał tego faceta! to przecie nie dla mnie taki podarek. Bo przecież ja nie mam matki, nawet jęj nie pamiętam... — dodał w myśli, i jakieś rzewne uczucie odbiło się na jego twarzy.

— Ja myślałem, że on oddany rozpamiętywaniu, a on jakąś elegancką książkę sobie czyta! — ozwał się jeden z kolegów, podnosząc wzrok od pracy.

— Śliczna mi książka, mam tylko z nią biedę, muszę szukać właściciela — odrzekł niechętnie Władzio.

— Co to znalazłeś? pokaż? — zapytano ciekawie, i obydwaj zbliżyli się do niego.

Władzio dał się wciągnąć w gawędę i opowiedział, gdzie znalazł książkę. Oglądali ją wszyscy trzej, przeczytali głośno to, co było na pierwszej stronie, i każdy z nich zamyslił się. Na chwilę zapanowała cisza.

— I cóż ty z tym fantem zrobisz? — przerwał nareszcie któryś.

— A cóż, ogłoszę w Kuryerze! śliczna mi frajda, trzeba będzie dać dwa złote! — odrzekł Władzio.

— Et, lepiej sam weź się i zapisuj, coś zbroił; — żartował drugi.

Władzio spojrzał gniewnie na niego.

— Cóż to, czyż to ja jestem złodziej, żeby cudze rzeczy sobie przywłaszczać! — zawołał porywczo i pięść zacisnął.

Byłoby może przyszło do bijatyki, ale wszedł do Władzia korepetytor i wszyscy znów zajęli się nauką.

IV.

WŁADZIO I LUDWIŚ.

Sąd nauczycieli wypadł na niekorzyść Władzia, byli tacy, co głosowali, żeby go ze szkół wypędzić; tem więciej, iż mimo zdolności, źle się uczył, a ciągłemi psotami przeszkadzał tylko innym. Podnosiły się też głosy, żeby mu poprostu po ojcowsku dać różgą, a jeżeli okaże skrucę, zostanie, bo przecież szkoła musi rozmaite wady poprawiać.

Pilnowicz mimo, że ciągle wymyślał chłopcom od urwisów, gdy jednak chodziło o surowszą karę, pierwszym był, aby ją złągodzić.

— Poczekać jeszcze, może to tam z tym pobitym nie tak źle, na razie chłopak nie przyzwyczajony do takich żartów więciej się zapewne przeląkł, trzeba będzie może z ostatecznym sądem się wstrzymać — głosował, chociaż w duszy bardzo był niespokojny o chorego Ludwisia.

Po dłuższej naradzie postanowiono Pawłowi i Ignacemu dać publiczną nagane i zmniejszenie dotychczasowych stopni, innym tylko nagane, Władzia zaś jako najwinniejszego miano na razie zupełnie pominąć, nie zwracać zupełnie na niego uwagi, jak gdyby nie istniał w szkole. Zostawić go w oczekiwaniu kary, które bodaj czy nie gorsze aniżeli sama kara. Gdyby zaś niestosownie znajdował się przy lekcji, profesor miał mu kazać wyjść bez żadnych dalszych komentarzy. Na drugi dzień, gdy winowajcy przybyli do klasy, dyrektor kazał wystąpić na środek Ignacemu i Pawłowi, a po stosownem przemówieniu wobec wszystkich kolegów, ogłosił im wyrok i dał surowe napomnienie. Koledzy mimowoli zwracali wzrok na Władzia, a trącając się nieznacznie łokciami mówili:

— Oj, będzie jemu ciepło!

Niepomierne więc było zdziwienie, gdy dwóm poprzedzającym kazał iść na miejsce, a profesor rozpoczął wykład, o Władzia zaś wcale nie zapytano.

Biednemu chłopcu serce biło jak młotem, oczekiwał, co dalej będzie. Przeszła godzina, szeptano:

— To mu się upiekło!

— Ma łaski!

To znów:

— Ale coś tam pewnie gotują dla niego.

— Nie chciałbym być w jego skórze!

Trzy godziny przedpołudniowe przeszły niezwykle cicho; wszyscy oczekiwali czegoś bardzo groźnego, wiedzano bowiem, iż taka sprawa nie ujdzie na sucho. Podczas pauzy Władzio starał się coś dowiedzieć o Ludwisiu, koledzy tak samo jak i on nic nie wiedzieli, odźwierny, gdy go pytano, kiwał głową bardzo dwuznacznie, stąd urosła wieść, że *novus* bardzo chory, że ma gorączkę, że pewnie żyć nie będzie...

Na zapytania Władzia odźwierny odwracał się i nic nie odpowiadał. Winowajca kilka razy zachodził drogę Pilnowiczowi, prosząc, aby mu cokolwiek o Ludwisiu powiedział, ale Palka nie zwracał ani na niego, ani na jego pytania uwagi, i zwykle w drugą stronę odchodził, lub z kim innym rozpoczynał rozmowę.

Wśród takiego nastroju wielka pauza przeszła niezwykle cicho, gwarzono tylko półgłosem, naradzano się, o hałaśliwej zabawie nikt jednak nie myślał. Może dla tego, że Władzio zwykły dowódca, chodził tylko z kąta w kąt ze zwieszoną głową po obszernem podwórzu, na którym zwykle zbierano się podczas pauzy, i nie tylko nie dowodził zabawą, ale się nawet wciągnąć do niej nie dał.

Następny dzień przeszedł tak samo, uczniowie dziwili się, co to ma znaczyć, pomijanie zaś umyślne Władzia dawało im dużo do myślenia. Ktoś rzucił:

— Pewnie go wydalą!

Wyrazy te rozbiegły się złowrogo w klasie; Władzio mimo, a może właśnie, dla swych psot, był lubiony przez kolegów, miał więc ogólne wśród nich współczucie. Winowajca chodził jak struty, profesorowie odwracali się od niego, służba nie odpowiadała.

— Co to z tego będzie, co to będzie! — szeptano.

Po dwu jednak dniach przestano się tą sprawą zajmować; życie szkolne poszło swoim biegiem, tylko Władzio rzeczywiście jakby nie istniał. Nie wrywany podczas lekcji, omijany ostentacyjnie przez Palkę, sam stronił od kolegów.

— Ach, gdyby się można przynajmniej dowiedzieć, co się z tym facetem dzieje! — mówił sobie w duchu.

Po kilku dniach skoczył po rozum do głowy i przez biuro adresowe dowiedział się wreszcie o mieszkaniu Ludwisia. Pobiegł tam zaraz, ujął nieśmiało za dzwonek, gdy nagle drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Pilnowicz.

Na jego widok stropił się winowajca i wcisnął w sam kąt słabo oświetlonej sionki. Nauczyciel spojrzał na niego zniechęca, uśmiechnął się i poszedł w swoją drogę, udając, że wcale Władzia nie widzi.

— Czy można widzieć się z Ludwisem? — zapytał przyciszonym głosem, gdy mu otworzono.

— Mój syn jest jeszcze chory...

— Ach, pani, niech mi pani wybaczy — przerwał Władzio, całując z niebywałą pokorą rękę pani Mrukowieckiej. — Doprawdy, ja nie naumyślnie, ja nie chciałem... ja nie jestem taki zły... ja... — jękał, nie wiedząc, co dalej jeszcze powiedzieć.

— Nie sądzę, żebyście chcieli naumyślnie krzywdę memu synowi wyrządzić, jednak krzywda się stała, chłopiec niedawno po ciężkiej chorobie wpadł w drugą, miał silną gorączkę, o małoście go życia nie pozbawili.

— Ależ ja go nie chciałem zabić, niech się pani na mnie nie gniewa.

— Cóżby to pomogło, gdybym się gniewała, nie uzdrowiłoby to mego Ludwisia — odrzekła dobrotliwie.

— Ale on już nie bardzo chory? ja go będę mógł zobaczyć, przeprosić — dodał.

— Ha, niech i tak będzie — rzekła z westchnieniem i drzwi do pokoju otworzyła.

Ludwiś siedział przy stole i rysował coś na papierze; na widok Władzia zarumienił się cały, chciał wstać, ale tak był osłabiony, iż nie miał ku temu siły. Władzio, jakkolwiek

onieśmielony widokiem chorego, podbiegł ku niemu, a ująwszy za rękę, zawołał:

— Nie gniewaj się na mnie, ja ci nic złego nie chciałem uczynić! wszystkim nowusom tak samo robimy, no i z żadnym nie było takiego nieszczęścia!

— Prawda, że nieszczęście; drugi raz tobym wam się nie dał, i gdyby mi krew nie była z nosa pociekła, byłbym was zaraz poczęstował kułakami — odrzekł Ludwiś, ściskając dłoń kolegi.

— Toś ty nie mazgaj!

— Rozumie się! — zawołał chłopiec, a ciemne jego oczy zaświeciły dziwnym blaskiem.

Władzo pocałował go serdecznie.

— A nie gniewasz się?...

— Ech, kto by się tam za takie rzeczy gniewał! wiem przecież, że to były żarty. Ot, siadaj — rzekł, ożywiając się — mam takie ładne obrazki, chciałbym je nawet przrysować.

— To ty tylko z matką mieszkasz? — dodał.

— A z kimże by, przecież nie mam nikogo więcej — odrzekł smutnie Ludwiś.

— Nie masz już ojca?

— Już przeszło dwa lata, jeszcześmy mieszkali na wsi, gdy ojciec umarł — mówił Ludwiś przyciszonym głosem, oglądając się, czy matka nie słyszy. Gdy jednak przekonał się, że niema jej w pokoju, dodał:

— A przed tem jeszcze umarł starszy brat, prawie już dorosły, a po śmierci ojca siostra, także starsza odemnie, tylko ja zostałem z mamą.

— To wy niedawno tutaj mieszkacie? — rzekł Władzio również pocichu, rozglądając się po niewielkim pokoiku.

— Niedawno, dopiero od jesieni; mama chciała, żebym zaraz zaczął do szkół chodzić, zdałem nawet egzamin, zapisali mnie, a tu bęc, rozchorowałem się na szkarlatynę i całe pół roku zmarnowałem; żebym aby teraz mógł jak najprędzej wrócić do szkoły — mówił Ludwiś z jakimś dziwnym smutkiem.



R y b a k.

— To ty tak umiesz rysować!? masz widać talent! — rzekł z pewnem uznaniem Władzio, przypatrując się jeźdźcowi, którego rzeczywiście Ludwiś wcale nieźle narysował. — Wiesz co, będziesz miał łaskę u Guma.

Ludwiś chciał zapytać, co to za Guma, ale skoczywszy po rozum do głowy, domyślił się, że to zapewne nauczyciel rysunków, podobała mu się nawet ta nazwa.

— Dobrzeście go nazwali, bo on pewnie tak jak guma wszystko maże — rzekł rozweselając się coraz więcej.

— Ehe, jakiś ty domyslny! ale tobie chyba mazać nie będzie! — rzekł, przypatrując się rysunkom. — Ale Pałkę spotkałem tutaj we drzwiach, czy on was znał dawno? — dodał.

— Gdzież tam, pierwszy raz go dopiero ujrzałem, gdy mi miejsce wskazywał, ale pocziwy Pałka codziennie mnie odwiedza i mamę uspokoił, gdy mnie odwiózł i doktora nam sprowadził...

— A pocziwy, ale na mnie to zły, bardzo się zawziął — dodał, zamyślając się Władzio.

— Lubisz się uczyć?

— Uczylbym się, ale mi będzie bardzo trudno... dotąd, uczyłem się tylko w domu, a w szkołach to zupełnie inaczej...

— Ech, co to trudno! — rzekł Władzio ze śmiechem — mnie tam nie trudno!...

— Toś ty szczęśliwy! musisz mieć zawsze dobre stopnie. Władzio zarumienił się po uszy i rzekł:

— Et, nie zawsze, jak się uda...

— A mówisz, że ci łatwo się uczyć — zapytał Ludwiś, wpatrując się w kolegę ciekawymi oczami.

Władzio na razie zapomniał języka. Kiedyindziej byłby odpowiedział:

— Et, głupstwo nauka, co mi tam!

Teraz jednak zawstydził się tego błędnego chłopca, któremu taką krzywdę wyrządził; zamyślił się więc, co by mu odpowiedzieć i zapytał wymijająco:

— A co ci najtrudniej przychodzi?

— Wszystko niełatwo, ale najtrudniej arytmetyka i algebra.

— Mnie tam idzie łatwo! — rzekł z pewną przechwałką Władzio — będę ci pomagał, chcesz?

— Ach, jakiś ty dobry! — zawołał Ludwiś z prawdziwą wdzięcznością.

Władzio tymczasem zaledwie obiecał swą pomoc, już w duszy myślał sobie:

dził w odgadnięciu najtrudniejszego zadania najpracowitszych nawet uczniów. I tutaj jednak po chwilowym namyśle znalazł lekarstwo na swoje próżniactwo.

— Od czegoż korepetytor — pomyślał sobie poraz drugi — gdy nie będę czego wiedział, albo nie będę miał ochoty, toć on mi powie — zapytał jednak zaraz:



Orłosep i sokół.

— Ot, tom się spisał, obiecałem pomagać, a ja prawie nigdy sam nic nie umiem. Ba, ale od czegoż korepetytor!

Władzio wprawdzie miał ogromne zdolności, ale nigdy nie uważał co profesor mówił, zwykle wtedy puszczał baka pod ławką, lub myślał, jakaby komu psotę wyrządzić. Jeżeli jednak zdarzyło mu się uważać, w lot odpowiadał i przecho-

— A ty nie masz Korka?

— Na co chcesz korka? — zapytał Ludwiś.

— Prawdziwy z ciebie *novus*, „*korek*”, to korepetytor— objaśnił Władzio.

Rozśmiali się obadwaj, Ludwiś zaś rzekł po chwili:

— Ale skąd tam Korek, mama i tak ciężko pracuje!

— Toście wy nie bogaci! — rzekł Władzio, rozglądając się po skromnym pokoiku.

Ludwiś zacerwienił się, odrzekł jednak z pewną dumą:

— Mama powiada, żeśmy bardzo bogaci, bo mama nie nikomu nie jest dłużna, ojciec zostawił bardzo dobre po sobie wspomnienie, mama szybko nauczyła się rytownictwa, a to, co mamy, zawsze nam wystarcza. Ach, byleby tylko mama była zawsze zdrowa i zehym ja mógł jak najprędzej zacząć chodzić do szkoły! — dodał z westchnieniem.

(d. c. n.)

RYBAK.

Na wielkiej rzece zwolna statki się kołyszają,
I ptak wodny się gnieździ krzycząc wśród szuwaru;
Rybki skryte w głębinie nie widzą, nie słyszą
Ni łódki co mknie cicho, ani ptaków gwaru

Śpią tak cicho w rzeki dnie,
A łódź z siecią szybko mknie.

Rybak z okiem utkwionem w rozrzucone sieci,
Kieruje swoją łodzią, choć niebo się chmurzy;
Wszak połów często lepszy, gdy słońce nie świeci,
Woda cicha, więc rybak dobry połów wróży,

I wciąż sunie w dal
Pośród rzeki fal.

Wszak tam w chacie nad brzegiem czeka dzieci dwoje,
Zona ostatnie kęsy rozdzieliła chleba;
On dla nich ponieść musi dziś najcięższe znoje
Bo dzieciom w słotną jesień ciepłej strawy trzeba...

Lecz na rzekę spada mgła
Dla rybaka wróżba zła.

Nagle sieci zadrżały, śnać ryba w nie wpadła,
Pociągnął rybak siecią, jest zdobycz nareszcie!
Ciężar jakiś nie lada, będzie dużo jada,
Gdy rybę okazała sprzeda w wielkiem mieście.

Radość mu dodaje sił,
O zdobyczy tej nie śnił!

Z. Morawska.

ORŁOSEP I SOKÓŁ.

Drapieżne ptaki, do których należą orły, sępy, jastrzębie, sokoly, kobuzy, wreszcie sowy, pułacze i wiele jeszcze innych, karmią się bądź to padliną (kondory) bądź żywymi ptakami, częściej zaś ciepło i zimnokrwistymi zwierzętami, myszami, mulikami, robakami wreszcie. Zajmują zaś wszystkie strefy kuli ziemskiej, z wyjątkiem podbiegunowych. Orłosepy i sokoly toczą z sobą niekiedy śmiertelne walki o łupy, które pragną zdobyć. Jedną z walk takich przedstawia rycina nasza. Krwiożerczy orłosep zgłodniały długo czatował na zdobycz, ukryty w krzakach nad brzegiem górskiego jeziora; wtem bystre jego oko spostrzegło w powietrzu spuszcającą się nad wodę młodą kaczkę; gdy niedoświadczone stworzenie zbliżyło się na odległość kilku metrów od ukrytego wroga, wnet z szybkością błyskawicy rzuca się nań orłosep, wpija w nie ostre, zakrzywione szpony i dziób krwi chciwy. Daremnie szamocze się kaczka, już orłosep zaciąga ją do swjej nadbrzeżnej kryjówki, gdy wtem wpada z góry najlepszy żeglarz powietrzny, sokół, i zdobycz odebrać mu pragnie, chwytając ją i zaczyna się walka między dwoma drapieżnymi ptakami. Orłosep jest wprawdzie od sokoła silniejszym, lecz widzimy na rycinie, że temu ostatniemu przybywa pomoc w postaci brata sokoła, jeśli orłosep wypuści ofiarę ze szpon swoich, wówczas unoszą ją chyte ptaki, którym on w locie nie sprostą. Walki podobne często kończą wspólnym spożywaniem łupu, skoro siły nieprzyjacielskie są równe.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Gorąco czuć się dawało coraz silniej i pora już była myśleć o południowym wypoczynku, którego muły i konie więcej może potrzebowali od ludzi, gdy niespodziewanie wśród ciszy boru, drzemiącego w słonecznym upale, odezwał się daleki jakiś odgłos do stuku siekier podobny. Z każdym krokiem stawał się wyraźniejszym, a towarzyszył mu zgrzyt pił, trzask łamiących się gałęzi i nie było już wątpliwości, że podróżni znajdują się niedaleko jakiegoś porębu.

W istocie, ujechawszy jeszcze kilkadziesiąt kroków ujrzeli podróżni tuż nad drogą dość rozległe karczowisko, na którym pracowało kilkunastu Indyan. Dozorował ich właściciel zapewne porębu, człowiek niemłody już, o europejskich rysach twarzy, lecz tak ogorzały od słońca, że z łatwością wziąć go było można za czerwonoskórego. Słyszając tentent kopyt i głosy nadjeżdżających, podniósł głowę, okrytą olbrzymiej wielkości kapeluszem i przypatrywał się im przez chwilę z zaskowaniem.

— Don Valerio! — wykrzyknął wreszcie, miejscowym zwyczajem używając chrzestnego tylko imienia — a pan gdzie ciągniesz z tak licznym orszakiem?

— Don Pepe Mora! — wykrzyknął niemniej zdziwiony p. Walery — a pan co tu robisz w tej głuszy?

Po wzajemnych powitaniach nastąpiły wzajemne wyjaśnienia. „Don Valerio” opowiedział gdzie i po co jedzie, Don Pepe Mora wyznał, że poniósłszy znaczne straty majątkowe, chce je powetować w handlu drzewnym i wziął się do ścinania na swoją rękę mahoniu, obficie rosnącego w tej części puszczy.

Dobry to był i dawny znajomy p. Walerego, u którego niegdyś był głównym zawiadowcą robót leśnych i niespodziane to spotkanie sprawiło obydwóm wielką i żywą bardzo przyjemność. Don Pepe nie mógł się dość wydziwić, że Lucię i Józia, których znał małemi dziećmi, tak sporymi już dzisiaj ogląda i nie mógł też dość nacieszyć się nimi. — A! jakież to skarby! jakie pociechy! jakie królewstwa! — powtarzał — moje, którem zostawił w Tenosique, ani umywały się do nich!

Nie było w tém nic dziwnego, bo Don Pepe Mora ożenił się był przed kilkanaście laty z Indyanką i dzieci jego odziedziczyły po matce charakterystyczne rysy rasy, do której należała, nawet potwornie wydłużoną czaszkę, odróżniającą Indyan wysokiego pochodzenia od ludzi z gminu. Dla pochlubienia się tą oznaką szlacheckiego rodu umyślnie zmieniali oni kształt czaszki, ściskając głowy nowo narodzonych dzieci pomiędzy dwoma deszczułkami, w których porobione były podłużne otwory na uszy. Deszczułki takie, umocowane na swoim miejscu odpowiednio urządzone bandażami, nie pozwalając głowie rozrastać się swobodnie, nadawały jej kształt nienaturalny, często prawem dziedziczności na potomków przechodzący, jak to właśnie miało miejsce u dzieci Don Pepe Mora.

Śmiały przedsiębiorca, który, porzuciwszy żonę i dzieci, od dwóch miesięcy przebywał w głębi puszczy z kilkunastoma Indyanami, obrał sobie na karczowisko śliczną i malowniczą miejscowość tuż nad niewielką rzeczką, w której przezroczystych wodach odbijały się nadbrzeżnych drzew wierzchołki. Czy to jednak skutkiem wilgoci, spowodowanej za bliskiem sąsiedztwem wody, czy skutkiem sypiania pod gołym niebem, Don Pepe cierpiał na febrę, która osłabiała go bardzo i groziła nawet podkopaniem raz na zawsze silnego dotąd zdrowia.

Pan Walery zawsze skory do niesienia pomocy drugim, udzielił staremu przyjacielowi siarczanu chininy, której zapas wziął był z sobą w podróż, zostawił mu parę butelek koniaku i zjadłszy razem obiad, pożegnali się znajomi serdecznie, nie pierwój wszakże, aż p. Walery przyrzekł, że podczas pobytu w Tenosique zamieszka w domu Don Pepe'go.

— Nie wiesz, nie włóczę się tu po puszczy Indyanie? — spytał p. Walery na wsiadaném.

— Lakondonów tylko widziałem.

— Kiedy? — żywo podchwycił Józio.

— Dziś, o wschodzie słońca. Wypoczęli nad rzeką, pogwarzyli trochę z drwałami i pociągnęli w puszcę, w stronę Tenosique. Tych obawiać się nie ma potrzeby.

— Najmniejszej! — zapewnił Józio z akcentem głębokiego przekonania i widząc, że miss Oliwia usłyszeć go nie może, dodał półgłosem;

— Wiemy coś o tém.

Nie było jednak śladu Lakondonów na drodze, która prowadziła naszych podróżnych do miejsca, gdzie dłużej nieco zatrzymać się mieli. Samotność i cisza otaczały ich w okolo; zdawało się, że noga ludzka nie powstała tu nigdy, że od stworzenia świata żadna istota ludzka nie podniosła ręki na bujną roślinność, otaczającą ich w okolo, najłżejszym wietrzykiem nie poruszoną.

Na godzinę przed zachodem ochłodziło się nieco i Moril, spokojny dotąd, a nawet osowiały i leniwie wlokący się obok Józia, ożywił się, i nos do góry podniósłszy węszyć zaczął po lesie.

— Zwiertzył coś — odezwał się Benito, zapalony myśliwy — trzeba mieć fuzyę w pogotowiu.

Zaledwie słów tych dokończył, zatrzeszczały pobliskich drzew gałęzie, zaszumiały gwałtownie poruszone liście i w gęstwinie drzew, nieosłoniętych w tém miejscu oponą lian, ujrano stado małp wyjćów, przeskakujących z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałęź, ze zręcznością, której by im uoąg pozazdrościć najbieglejszy gimnastyk. Niektóre, uczepiwszy się długim ogonem gałęzi, huśtały się w powietrzu, z komicznemi ruchami długich, giętkich łap, ciemnym włosom obrosłych; samice bawiły się z dziećmi, podrzucając je w górę jak piłki, młode małpki wyprawiały najpociesniejsze skoki, jednym słowem było to widowisko tak zabawne, że Lucia i Józio oczu oderwać nie mogli od ruchliwych, zwinnych stworzeń, które zdziwione z początku widokiem ludzi, przystały na chwilę nieruchomo, lecz wnet potem, jakby nabrawszy przekonania, że nie mają się czego obawiać, znów rozpoczęły płasy i łapanie swoje. Istotnie, nikt nie myślał czynić im nic złego; Indyanie o tyle tępią małpy, o ile te wyrządzają im szkody w owocach, jakie przy osadach swych uprawiają, a p. Walery wzbraniał zawsze Józiovi strzelać do zwierząt bez koniecznej do tego potrzeby. Ale Moril, zacięty nieprzyjaciel małp, z którymi już nieraz wojny staczał, stracił zupełnie głowę na widok tak liczego zastępu wrogów, i z najeżoną sierścią, z zaskrzonemi oczyma, z łbem w górę podniesionym, czekać zaczął zajądło, podskakując do góry z widocznym zamiarem pochwycenia której z małp w wyszczerzone ze złości zęby.

Z początku cierpliwie znosiły małpy napaść Morila i jego szczerkanie, w końcu jednak podrażnione niem widocznie obłamywać zaczęły kawałki gałęzi i ciskać je na psa ze złością. Daremnie Józio starał się uspokoić Morila; odwet małp pobudzał go do coraz większej wściekłości: nie skakał już, ale spinał się do drzew, przebiegając od jednego do drugiego w nadziei zapewne, że jeżeli nie tu, to tam, uda mu się ściągnąć małpę z drzewa.

Grad gałęzi sypał się z drzew nietylko na Morila, ale i na podróżnych, nie przyjmujących żadnego udziału w utarczce, i p. Walery zabierał się już wystrzelić w powietrze, aby hukem strzału spłoszyć małpy, zmusić je do ucieczki. Wykręcał właśnie kulę gdy małpiątko jakieś, nie dość jeszcze do skoków wprawne, upadło na ziemię tuż obok Morila, który w jednej chwili wziął je za kark i poskoczył z niem ku Józiovi, jako do aportowania nawykły.

Nie zdążył jednak przebyć i połowy przestrzeni, która go od Józia dzieliła, gdy rozjuszona strąta dziecka samica jednym susem rzuciła się na niego i owinąwszy mu przednie łapy długim ogonem, powaliła na ziemię...

Niewiadomo, coby się stało z Morilem, gdyby Benito, widząc rozpaczliwe jego położenie, nie położył trupem samicy

w chwili, gdy jedną ręką wyrwawszy swe małe z paszczy Morila, drugą bić go i szarpać zaczęła.

— A to złośnica! — krzyknął Józio, zeskakując na pomoc ulubieńcowi — oczy mu wydrapać gotowa!

Nim jednak dobiegł do walczących, samica padła martwa obok skrępowanego jej ogonem Morila. Małpiątko wylękłe i zapewne poturbowane, siedziało skulone tam, gdzie je opuściła matka, stado małp uciekło z dzikim wrzaskiem na ogłos wystrzału, ale Moril choć oswobodzony od swojej przeciwniczki, nie podnosił się jednak z ziemi.

— Może ma łapę złamaną? — z niepokojem zapytał Józio Benita, który oglądał zabite zwierzę.

Benito uśmiechnął się tylko.

— Niech królewiczek spróbuje postawić go na nogi.

Usłuchał Józio, ale ku wielkiemu zdziwieniu swemu przekonął się, że ogon nieżywej już małpy krępuje łapy Morila, nie pozwalając mu ich rozprostować.

— Benito! patrz! — zawołał — ten ogon zaciśnięty jakby żywy!

Zbliżył się p. Tadeusz zaciekawiony tym wypadkiem, ale daremnie obaj z Józiem próbowali wyzwolić łapy Morila z obręczy, którą je otoczyła biedna matka spiesząca na obronę swojej pociechy; dokonał tego Benito, który dobywszy noża rozciął sprężyste okowy. Moril przestraszony z trudności powstał z ziemi i kulejąc, postąpił kilka kroków widocznie zawstydzony swoją przygodą. Potem otrząsnął się raz drugi, spojrzął w oczy Józiovi, wspiął się na Benita wdzięcznie machając ogonem i oglądając się wciąż na Józia, postąpił ku małpiątku.

— Nie rusz, Moril, nie rusz! — zakomenderował Józio.

Ale pies ani myślał ruszać małego stworzonka, drżącego ze strachu i bólu; obwąchał je tylko i cofał się dyskretnie, gdy małpiątko wyciągnęło do niego przednie łapki ruchem tak żalosnym, jakby chciało prosić, by je podniósł z ziemi. Moril, nieprzyzwyczajony do podobnej gestykulacji, zbliżył się i znów zaczął je obwąchiwać ciekawie, wtedy ono zarzuciwszy mu łapki na szyję, zręcznym susem dźwignęło się z ziemi i nie puszczaając jego szyi, usadowiło się na szerokim karku pocziwego psiska, które pomrukując i kulejąc, przyniosło Józiovi swój ciężar.

— Brawo, Moril! brawo! — zawołał Józio — adoptować musisz sierotę!

P. Walery naglił, by nie tracić czasu, jeden z Indyan włożył więc na muła zabita małpę, której piękne futro ściągnąć miano na noclegu. Józio wziął na ręce małpiątko, którego każde poruszenie wzbudzało w Morilu żywą ciekawość i szczęśliwie dociągnięto do noclegu, gdzie Józio zajął się gorliwie kształceniem Morila na piastuna małpki, którą już nazywał Morillina. Zmysłny i pojętny pies prędko zrozumiał, czego od niego żądano i nie upłynęło tygodnia, Morillina odbywała już parogodzinne przejażdżki na karku lub na grzbiecie swego opiekuna, którego nieraz głaskała łapkami z przytulającą się minką, podczas gdy on oddając jej pieczyoty, lizał ją szerokim językiem. co Józia niewymownie cieszyło.

Upłynęło już siedm dni podróży, a dotąd jeszcze ludzie ani zwierzęta nie doznali zbyt wielkich niewygód i nie czuli zmęczenia. Siódmego dnia wszakże przebywszy już puszcę, znaleźli się podróżni nasi wśród niewielkiego łańcucha gór, przedzielających łożysko Usumacinty od łożyska San-Pedro. Droga była okropna, zasiana głazami i odłamami wapienia, które usuwając się z pod nóg, czyniły przeprawę nietylko trudną, ale nawet niebezpieczną, a gdy przyszło wdrapywać się na niezbyt wysoką ale stromą górę, stanowiącą najwyższy punkt łańcucha, wszyscy, zsiąść musieli z wierzchołców i iść pieszo; z mułów juczących zdjęto też połowę ciężaru, co wszakże przyczyniło tylko biednym zwierzętom drogi, bo dotarłszy na szczyt góry, musiały znowu schodzić po zostawione u podnóża juki. Indyanie, zaprawieni do wszelkiego rodzaju trudów, towarzyszyli im bez szemrania, nie szemrał też nikt, nawet Lucia, którą chciała nieść na rękach Juana. Energicznie oparła się temu dziewczynka i równym, pewnym krokiem idąc obok miss Oliwii, stanęła na szczycie góry niezbyt zmę-

czona, choć w miejscu wystawioném bez żadnej osłony na działanie promieni słonecznych, panowało gorąco, o jakim nie mogą mieć pojęcia mieszkańcy stref umiarkowanych.

Na domiar przykrości zabrakło zupełnie wody. Dotychczas spotykano ją tak obficie, że nie potrzeba było myśleć o braniu z sobą jej zapasu, ale tu wśród skał słońcem spalonych, nie sączył się najmniejszy nawet strumyczek; trzeba aż było zejść w dolinę, aby tam, w cieniu lasów oceniających podnóże góry do woli ugasić pragnienie. Pomiedzy zapasami podróżnych znajdowały się wprawdzie soki, p. Walery nie zapomniał też o winie, ale jedno ani drugie nie mogło zastąpić wody, a nadomiar nieszczęścia kosz z owocami, w które przeznornie zaopatrzyła się Juana, pozostał wśród juk u podnóża góry złożonych.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI

ESKIMOSI.

Pewien niemiecki podróżnik, zwiedziwszy obecnie Grenlandję, podaje następujące szczegóły o Eskimosach. W każdym namiocie, powiada, mieszka po kilka rodzin, z których znów każda ma palem odgrodzoną siedzibę na tapczanie, gdzie siedzą skuleni małżonkowie z dziećmi. Przed każdą taką siedzibą pali się szerokim płomieniem lampa tranowa dzień i noc, a daje ona nie tylko światło, ale i ciepło i dostarcza upragnionego zapachu tranu. Mężowie żyją zazwyczaj w wielkiej zgodzie z żonami, i często widzieć można, jak małżeństwo pociera sobie wzajemnie nosy z wielką czułością, co zastępuje miejsce pocałunku. Gdy jednak zdarzą się kłótnie, bywają bardzo gwałtowne, i kończą się zwykle obiciem, lub zadaniem ciosu nożem w rękę czy w nogę, — poczem stosunek jest równie serdeczny jak poprzednio. Czystością nie odznaczają się Eskimosi; z natury mają cerę twarzy żółtawą lub brunatną, ale jaki procent barwy tej kładzie na karb brudu — trudno odgadnąć. U dzieci zwłaszcza, brud tworzy na ciele grubą skorupę, która miejscami sama odpada. Kobiety, zwłaszcza młode, myją się znacznie częściej. Najulubieńszem zajęciem Eskimosów w chwilach wolnych od pracy, jest drapanie się w głowę, obrośniętą bujnym a szerokim czarnym włosiem. Mężczyźni wyczesują włosy z czoła i przytrzymują je sznurami pereł, obcinają je zaś szczękami wielorybów, zetknięcie się bowiem żelaza z włosami jest, według ich pojęć niemożliwe. Kobiety związują wszystkie włosy w sztywny węzeł na tyle głowy i obwiązują go kawałkiem skóry zwierzęcej z sierścią; uczesanie to przeznaczone jest głównie dla młodych panien. Wyczesują one zaś włosy tak mocno z czoła, że te wypadają, i Eskimoski skutkiem tego bardzo wczesnie łysieją. Dla Eskimoski z dobrego towarzystwa, wyczesywanie włosów z czoła jest równie niezbędne, jak dla europejskiej damy sznurówka. Młode Eskimoski potrafią zjeść nawpół surową mewę, nieoskubaną z pierzy.

PYTANIE.

Staś szedł szybko koło mamy, która wyszła z nim na przechadzkę poza miasto. Szedł, to znów biegł naprzód, to

przystawał. Po drodze spotkali chłopczyka, który dźwigał duże wiadro wody. Staś popatrzył na niego i rzekł do mamy:

— Ach, mamusiu! jaki ten chłopczyk nieszczęśliwy być musi; idzie zgarbiony pod ciężarem, nie może tak jak ja biegać, ani skakać.

— Może chciałbyś pomóc mu — zapytała mama.

Staś podbiegł do chłopczyka i chciał z nim razem ponieść wiadro. Ale spotkała go odmowa.

— Ja sam zaniósę — odpowiedział — mnie nie ciężko, a jak się zmęczę, to wiadro postawię i odpocznę.

Staś powtórzył mamie odpowiedź chłopczyka i dodał:

— Ciekawy jestem, jaki też ciężar mógłbym unieść?

— Mój Stasiu, unosisz ty ciągle bardzo wielki ciężar, tylko nie wiesz o tem, a raczej nie zastanawiasz się nad nim. Unosisz go na równi z wszystkimi istotami żyjącymi.

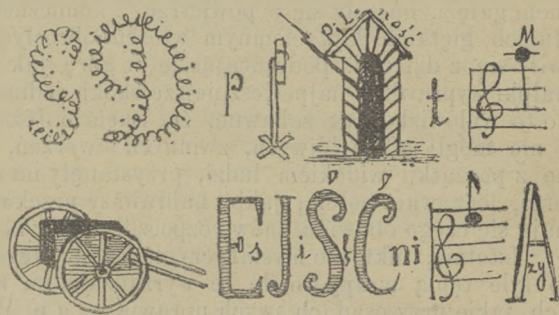
Staś długo rozmyślał nad tym ciężarem i postanowił wreszcie przyznać się do niewiadomości i prosić mamę o objaśnienie.

A czy wiecie, co mu mama odpowiedziała?

SZARADA.

Pierwsze w roślinnych rzedzie,
Drugie mniej niż najmniej będzie,
Trzecie na wspak w Rosyi płynie,
Wszystko krwawo w dziejach słynie.

REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Szarydy: Kro — ni — ki.

Łamigłówni sylabowej:

1. TuR. 2. EpernaY. 3. RyleC. 4. EriE. 5. SteR. 6. SandomierZ. 7. AraB. 8. JundziłŁ. 9. AnnE. 10. Dama-szeK. 11. WalkŁ. 12. IrbiT. 13. GawroN. 14. ArdenY.

Teressa Jadwiga — Rycerz Błękitny.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Pogadanka naukowa (z drzew.) — Książeczka Władzia p. Z. Morawską (c. d.) — Rybak, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.) — Orłosp i sokół (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki (c. d.) — Rozmaitości. — Pytanie. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Niedźwiadki p. A. M. (z drzew.) — Manusia i tatuś, wiersz p. Helenę Bojarską. — Wycieczka do lasu, komedycja w dwóch odsłonach. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy, p. A. Do. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść przez Karolinę Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



NIEDŹWIADKI.

Ciepłe wiosenne słońce ogrzało ziemię, i z pod topniejącego śniegu ukazały się tu i owdzie drobne zielone ździebélka trawy.

Wśród wysokich gór, w głębokiej norze spała sobie niedźwiedzica z dwoma małemi niedźwiadkami, bo trzeba wam wiedzieć, że niedźwiedzie zimę całą nie jedzą i nie piją, lecz śpią bez przebudzenia dopóki wiosna nie zawita.

Lecz gdy dobroczynne słońce zajaśniało, obudziła się niedźwiedzica i zamruczała na dzieci.

— No, śpiochy! wstawajcie. Dosyć tego spania. Trzeba nam teraz wyjść z naszej nory i poszukać pożywienia.

Niedźwiadki przeciągnęły się leniwie, jedno ziewnęło, drugie przymykało jeszcze ciemne ślepki, lecz strofowane przez matkę ruszyły się wreszcie i otrząsnęły brunatne kudły.

Ledwie wyszły z ciemnego mieszkania, tak raził ich blask słoneczny, że przymknęły oczy i w cień się usunęły, jak to widzicie na rysunku.

Niedźwiedzica wysunęła się naprzód i rozmyśla, jakby tu pochwycić jakie zwierzątko i nakarmić niem siebie i dzieci. Młode niedźwiadki rozglądają się w koło ciekawie, i słuchają, co mówi im matka.

— Czekajcie tu na mnie — prawi — a za najmniejszym szelestem uciekajcie do nory. Ja pójdę na polowanie i przyniosę wam, co się zdarzy. Może górskiego sorka lub susła, może w tym lesie, który u stóp góry rośnie, znajdę z parę ptasząt lub śpiącą jeszcze pod drzewem wiewiórkę. W lecie łatwo nam będzie o pożywienie, miodu i owoców nie zbraknie, lecz teraz ciężki przednówek, niczem gardzić nie można. Siedźcie tu spokojnie i czekajcie na mnie.

Niedźwiadki długo czekały, aż wreszcie nad wie-

czorem zaczęły mruczeć radośnie, bo zobaczyły matkę, dźwigającą dla nich dużo zdobyczy.

A. M.

MANUSIA I TATUŚ.

— Ja bardzo kocham tatusia,
O tak! mówiła Manusia,
— Kocham sercem, duszą całą! —
— Mówić o tém to zamało.
Na to Mani ojciec powie!
— Alboż się to w czułem słowie
Mieści miłość? nie, kochanie,
Twe tylko postępowanie
Powie o nię; tak, córeczko,
Grzeczną, dobrą bądź dziewczką,
A tatuś wtedy uwierzy,
Że go kochasz jak najszczerzej,
O! pozna to doskonale,
Choćbyś nie mówiła wcale.

H. B.

WYCIECZKA DO LASU.

Komedyjka w dwóch odsłonach.

OSOBY:

LUCYNKA lat 10.

ADAŚ jej brat lat 11.

MUNDZIO ich krewny lat 11.

MACIUS syn ekonoma lat 12.

ZOSIA mała wiejska dziewczyna.

BARTŁOMIEJ wieśniak,

Rzecz dzieje się na wsi.

AKT I.

SCENA I-wsza.

Pokój dziecienny, stół, krzesła, na stole zabawki dzieciinne.

LUCYNKA, ADAŚ, MACIUS.

(Lucynka porządkuje zabawki na stole, Adaś ustawia krzesła, Macius ściera).

LUCYNKA (spoglądając na zegar). Spieszmy się, bo za kwadrans Edmundek przyjedzie.

ADAŚ. Ah! jak ja się cieszę, że go uściskam niedługo.

MACIUS. Ja się nie posiadam z radości na samą myśl, że zobaczę tę śliczną jasną główkę, i usłyszę dzwieczny głosik, co w każdej zabawie réj wodził.

LUCYNKA. Bardzo wam wierzę, że się cieszyicie, bo niema w świecie lepszego chłopca od Edmunda. Dwa lata go nie widzieliśmy, a to wiek cały. Po śmierci swjej matki musiał pojechać do wujaszka do Warszawy,

a wioskę, w której się urodził, opiekunowie wypuścili w dzierżawę.

ADAŚ. Musi mu być dobrze u wuja, bo wuj bardzo bogaty, niema dzieci, i kocha Edmunda jak własnego syna.

MACIUS. Ale dla czegoż przez dwa lata ani razu do nas nie zajrzał?

LUCYNKA. W czasie pierwszych wakacyj wyjeżdżał z cicią do Ciechocinka, ale teraz po ukończonym roku szkolnym dwa miesiące przepędzi z nami.

ADAŚ. Toż to dopiero będzie nam wesoło.

MACIUS. Ale jak! Pamiętam Muńdzia jak był swawolny i żywy, z jaką zręcznością wdrapywał się na drzewa. Raz w lecie poszliśmy do lasu, wypatrzył gniazdo wiewiórki, i dalej wybierać jej orzechy, bo trzeba panience wiedzieć, że wiewiórka zna się na nich i znosi sobie najpiękniejsze na zapasik zimowy. Ale jak zawołałem. A cóż wiewiórce na zimę zostanie? umrze z głodu nieboraczka! „Prawda, prawda”, odrzekł i dalej wyjmować napowrót z kieszeni orzeszki i wysypywać do gniazdeczka; — A potem jak zsunie się z drzewa, jak skoczy na dół, przynajmniej z sześciu łokci wysokości, to powiadam paniczce jak kotek jaki.

ADAŚ. O wiem, wiem, zawsze był bardzo zręczny. Toż dopiero będziemy się bawić i biegać.

LUCYNKA. I dalekie spacery odbywać.

MACIUS (*nieśmiało*). Zapewne. Ale, panienko, czy i mnie do nich należeć będzie wolno?

LUCYNKA. A to dziwne pytanie! albo zwykle nie dzielasz naszych rozrywek, albo nie jesteś chrzestnym synem naszej matki?

ADAŚ (*biorąc Maciusia za rękę*). Alboż nie wzrosliśmy razem i razem początkowo nie pobieraliśmy nauk?

MACIUS (*z wdzięcznością*). Prawda, prawdą, wiem, żeście dla mnie dobrzy jak aniołki, chociaż ja tylko syn ekonoma, a wy dzieci dziedzica.

LUCYNKA. Czy dano ci to kiedy uczuć Maciusiu?

MACIUS. Nigdy, ale jak ten piękny Edmundek przyjedzie, kto wie, czy w Warszawie nie nabrał innych przekonań i czy nie będzie dumnym względem biednego Maciusia, który na chwilę serdecznie go kochać nie przestał.^a

ADAŚ. Mój Maciusiu, co za przypuszczenie.
(*słysząc odgłos pocztowej trąbki*).

LUCYNKA, ADAŚ (*biegnąc do okna*). Jedzie, jedzie, już widać bryczkę, już i mama wyszła do przedsiönka, biegnijmy prędko... prędko (*oboje wybiegają*).

SCENA II-ga.

MACIUS (*sam*) (*chce iść za nimi, ale się zatrzymuje*). Oh i ja pobiegnę, ale nie... zostanę. Jam obcy, nie chcę mieszać radości rodzinnej (*patrzy przez okno*). Już zajęchali, pan rządca wysadza Edmunda, jakież duży, jak urósł. Z jakąż czułością rzuca się w objęcia pani, nic dziwnego, to jego ciotka, rodzona siostra matki, tuli go do siebie i płacze. A teraz, co za serdeczne przywitanie z paniczem i z panienką! Jakżeby rad także go ucałować, chyba pobiegnę, ale nie... on teraz na mnie

uwagi nie zwróci, później przyjdzie na górę z dziećmi, bo tu pokój do zabawy.

SCENA III-cia.

MACIUS, ADAŚ, LUCYNKA (*wpadają z dużemi bukietami kwiatów*).

LUCYNKA (*wesoło*). Przyjechał Maciusiu, przyjechał Edmundek i za chwilę tu przyjdzie.

MACIUS. Widziałem go przez okno, ale dla czegoż jeszcze tutaj nie przyszedł.

ADAŚ. Pobiegł przywitać ojca i przebrać się, bo bardzo zakurzony.

LUCYNKA. Chce się nam dobrze zaprezentować, a my tymczasem przystroimy pokój kwiatami, które ogrodnik na jego przybycie pozrywał (*ustawiają kwiaty*). Tak będzie doskonale,

ADAŚ. Doskonale, ale otóż i Edmundek.

MACIUS. Ach! mój Boże, tak to on, ale jakież elegant!

(*d. c. n.*)

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY.

p. **A. DO.**

(*Dalszy ciąg*).

V.

Hebe i pszczoły. — Niegrzeczny Lord.

— A cóż to za miła niespodzianka! Jak się macie, moi kochani goście! — wołała wujenka, wybiegając na ganek. Poczciwa z ciebie kobiecina moja Maryniu, że pamiętasz o nas, wiesz dobrze, jak się wami zawsze cieszymy. Dzień dobry dzieci! Dwa miesiące was nie widziałam, a zdaje mi się, żeście znowu urosły.

— Byłam bardzo niespokojna o ciebie, moja droga Jadwisiu, że tak dawno ani zajrzałaś do nas; z początku tłómaczyłam to sobie wiosennymi zajęciami przy gospodarstwie, ale gdy miesiąc minął, a żadne z was nie pokazywało się nawet w Krakowie, napisałam ów list pełen zapytań o ciebie, Karola, dzieci wasze, a wreszcie o zdrowie krówek, baranów i świnek, chcąc się dowiedzieć, czy nie spotkało was jakie zmartwienie, choroba lub kłopot przynajmniej. Nie wiedziałam nic o podróży Karola do Lwowa. Odpowiedź twoja uspokoiła mię zupełnie, wyśmiałaś moje obawy, a przytem wypaliłaś porządną burę. Przyznaję, zasłużyłam na nią przypuszczając, że mogłoby was doknąć jakie nieszczęście lub strapienie, którem natychmiast nie podzieliłibyscie się z nami, najbliższymi wam krwią i sercem. No, ale dość już tych sentymentów, muszę cię ucałować, moja jedyna, kochana, a jak ślicznie wyglądasz! Ktoby to powiedział, że ta biała blondyneczka, to gospodyni zawołana, że te rączki delikatne tyle robić potrafią!

— Ot widzisz, takie już moje szczęście: chodzę po słońcu bez kapelusza, bez rękawiczek, nie zważam na przepisy elegancyi i opalić się nawet nie mogę. Żeby

choć te szkaradne rude włosy chciały spełzną trochę! Ale gdzie tam! jeszcze lepiej czerwienieją na lato.

— Ej! Żywe złoto masz na głowie, kto cię widzi, najpierw włosy twoje uwielbia, i jeszcze grymasisz. Chyba dawno nie słyszałaś komplementów i mnie chcesz do nich przymusić...

— Nie, nie, moja droga, żartowałam tylko, chociaż doprawdy nie złote one, ale miedziane. Ale, ale! Michasiu, Lili! Gdzieżecie się pochowali? Ciocia z dziećmi przyjechała!

— My ich sami poszukamy, wujeneczko — rzekł Jerzy — pewno są w ogrodzie...

— Ej, zdaje mi się, że poszli piechotą do Mogiły na sumę, bo wczoraj jeszcze prosili mnie o pozwolenie pójścia do kościoła z Marcinową, a ja na wasz widok zapomniałam chwilowo, że ich już pewno niema. Za godzinę i my pojedziemy, to się tam wszyscy znajdziemy. Tymczasem biegajcie do ogrodu, a my z mamą pomyślimy o jakimś śniadaniu dla biednych podróżnych. To mówiąc, obie panie weszły do domu, a dzieci poskoczyły obejrzeć wszystkie znajome zakątki, przywitać się z psami; Staś od razu dobrał się do huśtawki i spotkawszy po drodze ogrodnika Marcina, u którego w wielkich jest łaskach, wyprosił sobie choć kwadrans bujania pod niebiosy. (Trzeba wiedzieć, że w huśtaniu dzieci wysoko, a spokojnie i bezpiecznie, celuje huśtawka wujenki.) Jerzy polecał do stajni zasięgnąć wieści o zdrowiu pewnego siwka dychawicznego, na którym zazwyczaj młode pokolenie próby konnej jazdy odbywa, a który dla swych lat dwudziestu pięciu „Jubilatem” się nazywa. Helenka odłączyła się od braci i pogrążona w myślach, ze spuszczoną główką usiadła na ławeczce pod lipą. Opowiadanie Jerzego o bożkach starożytności utkwilo jej głęboko w pamięci i zajęło niezmiernie młodą a żywą fantazję. Jakże to były piękne i wspaniałe czasy, myślała sobie dziewczynka, kiedy ci wszyscy bogowie schodzili z nieba na ziemię i z ludźmi przebywali! Mama powiada, że to bajki; ale tatuś mówił, że w każdej bajce jest połowa prawdy, więc i te śliczne historye choć odrobinę są prawdziwe.... może to byli jacy sławni, wielcy ludzie, jakie śliczne i dobre kobiety, które naprawdę żyły kiedyś, a potem.... zrobiono z nich bożków i modlono się do nich.... jaka ta Wenus musiała być śliczna! Ach Boże! czy ja też będę ładna kiedy! Pewno nie.... wszyscy mnie brzydką nazywają..... albo ta biedna Prozerpina! jabym dopiero wrzeszczała, żeby mnie Pluton do piekła porywał!... Pluton — jak to śmiesznie.... a cioci Zosi pies się tak nazywa. A jak to musi być przyjemnie jeździć sobie po niebie jak..... nie pamiętam jak on się nazywał.... ciekawam wiedzieć, co oni pili i jedli ci bogowie... musiało być coś przewybornego! Jerzy mówił, że Hebe w złotym dzbanku miała pełno nektaru..... Nektar, to pewno wino słodkie doskonałe... żebym była tą boginią, tobym sobie ciągle popijała. Szkoda, że to już wszystko minęło... o! na tej górze, gdzie brzoza rośnie, byłaby prześliczna świątynia, cała z białego marmuru, ołtarz złoty, brylantami wysadzany, a na nim posąg jakiego bożka... ej, nie, lepiej bogini, na przykład tej Wenus, co to była najpiękniejsza. A drugi ołtarz to byłby srebrny z ru-

binami i szafirami, a na nim Hebe, czyli ja! Dopiero codzień schodzą się ludzie i kłaniają się, a ja stoję na góreczce... chciałam powiedzieć na srebrnym ołtarzu i patrzę na nich z wysokości. Ale że te posągi były od stóp do głów drogiemi kamieniami wysadzone, więc żeby ich nikt nie ukradł... (bo pewno i wtedy byli złodzieje) stawiano przy każdym posągu ogromne żelazne, ciężkie słupy, i z boku albo z dołu przykuwano mocno bożków, żeby ich ruszyć nie było można. O! mam w kieszeni sznurek, co mi Henryś wczoraj darował, przywiążę się do drzewa i będę stała spokojnie a nibyto będzie mocny łańcuch, tak, jeszcze na jeden węzełek trzeba związać... poganie się schodzą oddać cześć bogini... Aj! aj! aj! Mamo, mam, mamusi! Na krzyk przeraźliwy Helenki, szczęściem o kilkanaście kroków od dworu oddaloną, mama z wujenką wybiegły do ogrodu i pospieszyły na ratunek, zdziwione co się jej stać mogło a że krzyczy w niebogłosy, a stoi w miejscu i tylko nóżkami tupie, a rękami twarz osłania.

(d. c. n.)

SZARADA.

ułożyła Niezapominajka z nad Warty dla Ukrainki z Kącika.

Pierwsze czwarte w ziemi znajdzie,
W starych rzeczach drugie trzecie.
Całość zaś będzie
W kosmetyków rzędzie.

REBUSIKI.

ie ie ie ie ie ie ie	giem	100	yr yr yr yr yr yr
ie rzby ie	brze	100	yr osly yr
ie ie ie ie ie ie ie			yr yr yr yr yr yr

zycie	§	body	jest	ne
u				gan

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go

Szarady: Ser — we — ty.

Łamigłówek: G
l e w
g r o c h
w i e r z b a
g e o r g i n i a
d o m i n i k
r a n e k
k i j
a

Skrzynka do listów.

Izab. Gar. oraz **Odważny Pływak** proszą o prędkie zamieszczenie ich listów; kochani nasi korespondenci myślą czasem, że są jedynymi amatorami korespondencji. Pragnęlibyśmy, aby się przekonali naocześnie, jakie to stopy listów czekają na swoją kolej.

Chmurec Wiosennej wysłać będziemy pismo nasze pod wskazanym adresem. Mszyce niszczące różę pokojową, giną od dymu tytoniowego, którym powinien okadzić roślinę ktoś z palących, puszczając dym od korzenia tak, aby wznosił się w górę i całą różę otoczył. Powtarzać to potrzeba codzień, dopóki lekarstwo nie poskutkuje.

Dobre rozwiązania szarad nadesłali: **Paulina O.**, **Staś i Jadwiga Cz.**, **Malina z nad Wisły**, **Fiołek alpejski**, **Maryla G.**, **Emilia W.** i **Sarenka modrooka**.

Stefcia Szcz. ma u nas do rozporządzenia kop. 15. Numer żądany posłano.

O życzeniu **Złotój Pszczółki**, pamiętać będziemy.

Hel. Zaw., wysłamy żądany numer pod wskazanym przez nią adresem.

Widzisz **Złota Przedzo**, jak to Bóg zawsze wszystko łoży, stosując wiatr do „strzyżonej owieczki”. Spokój i wesele zawitały do twego serduszka, a nam też serdeczne zadowolenie sprawia myśl, że — jak powiadasz — słowa nasze dodawały ci otuchy w trudnych chwilach. Doświadczenie życia, zarówno jak religia, uczy nas, że się nigdy nie godzi oddawać rozpacz, ze względów moralnych — grzesznej, a z praktycznych — nieprodukcyjnej. Pismo przesyłać ci będziemy pod wskazanym adresem. Siostrzyczko powiedz, prosimy, że nie zapominamy korespondentów naszych. Bóg z tobą, dziewczeczko droga! w weselu zarówno jak w smutku i strapieniu.

Pegaz Skrzydlaty prosi nas o radę, zdanie i wskazówki. Nic innego powiedzieć mu nie możemy, jak: „Pracy, pracy, zawsze pracy i jeszcze pracy!” Czytać trzeba dużo, zapoznać się z pisarzami, — mianowicie złotego wieku, — bo w nich nieprzebrana skarbnica wzorów, a do pióra nie rwać się zbyt wcześnie, przynajmniej — nie wystawiać jego utworów na widok publiczny. O ile pisanie dla wprawy, dla wyćwiczenia stylu jest rzeczą godną polecenia, o tyle przedwczesne ogłaszanie młodzieńczych robót, nigdy nie wychodzi na dobre talentowi.

Z szarad przysłanych nam przez **Stefana K.**, jedna tylko nie jest wadliwą. W szaradach idzie przede wszystkim o dobre określenie: jakże więc można powiedzieć, że „staw” jest „małą rzeką”? Z przysłanych nam próbek wnosimy, że **St. K.** lubi bawić się piórem, lecz z czasem może dopiero nabierze wprawy i umiejętności władania mową wiązaną.

Kureczce z nad Ikwy. Opoczniak z nad Czarnej posłał swój list Jankowi, za pośrednictwem Redakcji „Wieczorów”. W jaki zaś sposób Redakcja znosi się z Atlantą, o tym wie każdy, kto od początku z uwagą odczytuje listy z tej wyspy tajemniczej.

Opoczniakowi z nad Czarnej. Z jakich powodów Janek sierota pojechał na Atlantę, o tym było szeroko w dawniejszych listach z tej wyspy opowiedziane — przeto ani sam Janek, ani Redakcja nie mogą tych szczegółów powtarzać, bo dla zadowolenia kilku nowych czytelników, znudziliby wszystkich dawniejszych, wiedzących doskonale o co chodzi. Niechaj Opoczniak postara się o ostatni rocznik „Wieczorów” i przeczyta sobie początek, to dowie się także jak wygląda Farys, koń Janka.

Odebraliśmy posyłki dla ubogich dzieci od **Julka, Władzi**, i **Wandzi St. L.** oraz od **Bladój Różyczki** i serdecznie za nie dziękujemy dobrym serduszkom, które uzały się biedy rówieśników. Fotografia może być posłana na żądanie; należeć się będzie kop. 37. Listów jest taka masa, że trudno w nich odszukać pojedynczego.

Wyrazy uznania podobne do tych, które przesyła nam **Sz. P. M. Woy.**, stanowią najmiłą nagrodę naszej pracy.

Złota Pszczółko, listami swymi nie nudzisz nas nigdy; listki zaś do druku przesłane muszą czasem ponudzić się w szufladzie — na to już rady niema.

Mani Gal., posłaliśmy żądany początek; miło nam wiedzieć że powieści w pisemku naszym wychodzące, zajmują nową prenumeratorkę. Początek „Wyspy Atlanty”, nabyć tylko można z kompletem drugiego półroczka. Korespondencya jest rzeczą bardzo prostą i łatwą: obawszy sobie korespondentkę, pisze się do niej na nasze ręce; listek idzie do druku w swoim czasie, to jest, gdy kolej przyjdzie na niego.

Odpowiedź dla **St. K.** oddaną została do druku przed otrzymaniem powtórnego listu.

Dziękujemy **Pokrzywce Wołyńskiej** za zastosowanie się do naszej prośby. Nie przestajemy prosić naszych korespondentów, aby na osobnych kartkach pisali do nas, a na osobnych do „Skrzynki”, bo wycinanie z arkusika tego, co przeznaczone do druku, zabiera nam wiele czasu. Pokrzywa ma rację, ufając naszej życzliwości; ma rację również, pragnąc „zjednać sobie wszystkich”. Miłość ludzka, ta, o którą się prosi w pacierzu, jest jednym z warunków szczęścia — a nie braknie ci go, jak widzimy, dziewczeczko.

Nie wiedzieliśmy, dla czego przestała do nas pisywać **Czarnobrewka**; możebyś ją, **Lirenko**, namówiła do odnowienia korespondencji. Odezwy wasze zawsze nam są mile, drogie dzieci, i zawsze z przyjemnością odpowiadamy na nie. O nadesłanej nam pracy wydamy sąd po przeczytaniu.

Nie wydrukujemy także łamigłówki **Białego Motylka**, jest ona bowiem wadliwie ułożoną. Żądany początek pošemy; prosimy o przeczytanie odpowiedzi, udzielonej **Pokrzywce Wołyńskiej**. Nową korespondentkę mile witamy.

Małej prenumeratorki **Ter. Piet.**, posyłamy początek powieści; ciekawi jesteśmy zdania twego o rówieśnicy twój **Madzi**.

Blondynka z nad Dniestru i **Tęskna Dumka**, przysłały łamigłówki bez rozwiązania. Nie mamy czasu na zgadywanie pojedynczych wyrazów, a nie znając ich, nie możemy dawać łamigłówek do druku.

Kochana Kuropatewko z nad Warty! Bardzo mi się podobał twój listek, chcę więc zawiązać z tobą korespondencyą. „Wieczory Rodzinne”, czytam dopiero od Nowego Roku. Mam więcej rodnictwa jak ty, bo jest nas sześciu, ja jestem trzecią z kolei, mam lat 12. Uczę się już teraz szósty rok, ze wszystkich lekcji najlepiej lubię historię i geografję. Uczę się także grać i tak samo jak i ty, lubię bardzo czytać. Mamusia ma zamiar oddać nas, to jest mnie i moją siostrę, która ma lat 10, na pensję do Krakowa. Mieszkam, tak samo jak i ty, na wsi, niedaleko miasta S. Podobałaś mi się z tego, że będąc tak małą, jesteś tak pilną w naukach, lubię cię za to serdecznie. Odpisz mi prędko, kochana Kuropatewko. Całuję cię. Twoja *Iskierka z nad Bzury*.

Kochana Niezabudko Czeska! Przeczytawszy twoje czułe dla mnie pozdrowienie, postanowiłam do ciebie napisać z myślą, że się na tobie nie zawiodę. Ja mieszkam na wsi, chodzę w chwilach wolnych na ślizgawkę z bratem Kaziem, który także czyta „Wieczory” ciekawie. Wesola Krakowianko, czy twoja kuzynka, która jest u ciebie, nie nazywa się Zosia B..., ma brata Bol. i czy Zosia nie mieszkała niegdyś pod Kostrzynem? Odpowiedz, proszę, na moje zapytania; całuję cię, jak również Czubatą Kokoszkę, Prymulkę i Kuropatewkę z nad Warty. *Figlarka*.

Droga Brzydotko z nad Tamizy! Widzę z twego listu, że chociaż morze nas dzieli, łączy nas wzajemna sympatya, i ja również szczerze cię pokochałam. Czy czytasz co więcej nad nasze pisemko, gdyż ja oprócz „Wiecz. Rod.” mam wiele książek, i właśnie teraz przeczytałam „Ogniem i Mieczem” Sienkiewicza. Napisz mi, jak się bawisz — ja po lekcji ślizgam się i robię robotkę. Kochana Wróźbiarko Szczęścia! Wielką zrobiłaś mi grzeczność, chcąc ze mną korespondować, bo jesteś staruszką, a mnie do tego brakuje jeszcze lat trzy. Bardzo lubię korespondować, lecz nie wszystkie są tak jak ty grzeczne i na moje listki odpowiadają. Gdzie mieszkasz? czy lubisz wieś? Ścisła was serdecznie i prosi o odpowiedź *Czarnooka z Puszczy*.